

HOMO EX MACHINA

PAINKILLER

I

Obudził się ze snu - długiego i niezbyt przyjemnego, lecz nie zdołał przypomnieć sobie jego szczegółów. Ciało było niewygodnie obolałe. Sen musiał być zbyt długi, przez co po wstał, wbrew wszelkiej logice, zmęczony i niewypoczęty. Nie potrafił powiedzieć gdzie się znajduje. Jasne koło sufitowej lampy skutecznie przeszkadzało w zebraniu myśli.

Powoli spionizował swoje ciało walcząc z mroczkami przesłaniającymi obszar widzenia. Oczy wciąż w dziwny sposób reagujące na światło pozwalały mu jedynie na dostrzeganie kolorowych plam, tak jakby nagle cała ostrość aparatu wzroku przestała podlegać kontroli mózgu. Spróbował zrobić krok, jednak poczuł bolesny ciągnięcie skóry, przekazane z delikatnym opóźnieniem, opornie i ślamazarnie. Tak właśnie reagował na otaczającą go rzeczywistość, każdy impuls obarczony był niewyobrażalnie wręcz irytującą latencją.

Przysiadł na łóżku bezradny. Kolorowe plamy wirowały, dźwięki zmieniały swe natężenie, dotyk był wygłuszony a węch jak gdyby nigdy nie istniał.

Przez długą chwilę uczył na nowo funkcjonować.

II

Kiedy wreszcie zmysły zaczęły współpracować ze sobą w stopniu umożliwiającym stworzenie spójnej wizji świata z ciekawością zaczął przyglądać się otoczeniu i analizować swoją sytuację.

Był nagi. Prześcieradło, które chroniło go od chłodu zrzucił zapewne podczas przebudzenia. Ciało nie miało żadnych śladów, siniaków czy też ran. Medyczna aparatura poprzyczepiana różnymi przyssawkami i klipsami do kluczowych części organizmu zdawała się radośnie obwieszczać całkowicie normalne parametry życiowe. Kable nieznanego pochodzenia jak i całkiem swojskie wenflony upodabniały jego przedramiona do jeża i to właśnie one powodowały niemożność odejścia od łóżka. Rzut oka na pustą kroplówkę upewnił go w postanowieniu wyswobodzenia się z uwięzi. Nie potrafił cierpliwie czekać.

Pokój, w którym się znajdował nie przypominał szpitala. Coś było nie na miejscu, pomieszczenie zdawało się być raczej piwnicą, lub też wydzielonym fragmentem magazynu, dość starym i podniszczonym. Łóżko, jak i cała aparatura lśniły nowością, ale stare mury, chociaż szczelnie obłożone folią i prawdopodobnie sterylnie czyste wciąż nie budziły zaufania.

Wszędobyłski beton, blacha falista, węzły nieuporządkowanych rur i kwieciste wykwitły zaworów były wprawdzie ciekawe, ale jednakowoż nakłaniały do szybkiej mobilizacji i ucieczki. Działo się tutaj coś dziwnie niedorzecznego. Kto chciałby go porywać, w jakim celu? Wprawdzie w Warszawie działy się

już gorsze rzeczy, ale nikt nigdy nie porywał młodych mężczyzn wracających z imprezy. Może i wypił wtedy za dużo, ale nie przypominał sobie żeby zgarnęła go policja. Nie pamiętał też, że wrócił do domu.

Jedynie co zostało w jego umyśle, to światła pojazdu jadącego z naprzeciwka.

III

Myśl pędziła przez jego ciało falą podwyższonego wyrzutu adrenaliny. Nie jechał sam, musieli ich znaleźć, zabrać i uleczyć. Ona gdzieś tutaj musi być, przecież nie mogła ot tak po prostu zginąć. Ludzie nie umierają bez zapowiedzi.

Pospiesznie odpiął ostatnie kable, zawinął się w prześcieradło i boso, przeklinając zimne podłogę, ruszył w kierunku drzwi. Za progiem powitał go dość ciemny korytarz, gdzieś rozświetlony niepewnym światłem jarzeniówek. Drzwi po jego przeciwnej stronie były tylko przymknięte.

Drugie pomieszczenie musiało pełnić analogiczne funkcje do tego, w którym się obudził. Było jedynie nieco większe. W centralnym miejscu leżała ona. Wokół krzątał się człowiek w białym kitlu, kręcił głową, przesuwając różne maszyny, obserwował rysowane wykresy tylko po to, aby po chwili na holograficznym interfejsie wprowadzić nową kombinację poleceń.

Oddychała tak miarowo i spokojnie. Uśmiechała się. Lekarz podniósł do światła strzykawkę, postukał w nią kilka razy palcem, wykonał poprawne wkłucie i powoli wtłoczył jej zawartość do obwodu.

Uśmiech zamienił się w grymas bólu, oddech przeszedł w rżenie, naprężone mięśnie miotają ciałem w niekontrolowanych skurczach.

Maszyny wyły.

IV

Absalon. Z takim imieniem położył się spać. Wstał jako Morderca Bogów - dziś zabił jednego z nich. Nawet dobrze nie pamiętał jak to się stało. Widział tylko krew, wszystko zafarbowało od jej czerwieni. A ten, który myślał, że może tworzyć i niszczyć życie leżał na ziemi ze zmiażdżoną czaszką.

Wyglądała tak bardzo źle. Żadne słowa nie chciały ułożyć się w odpowiednie pożegnanie, dotknął więc jedynie jej policzka, wciąż szlochając. Delikatne wyładowanie elektryczne popłynęło do jego palca. Ten impuls wyrwał go z letargu, drobna iskierka sprawiła, że podjął najlepsze w tym momencie decyzje.

Znalazł dla siebie ubranie, pieniądze, broń. Uciekł, starając się nie wzbudzać niczyjej uwagi. Wiedział, że w końcu zaczną go szukać, ale chciał odwlec ten moment.

Był piąty czerwca roku 2018.

GOD HATES US ALL

I

Pustynia Nowej Warszawy przywitała go pełnią gorącego lata. Nie miał zamiaru przesadnie się ukrywać. Zbyt dobrze wiedział, że nie ma szans na ucieczkę, nikt nie mógł zaoferować mu schronienia, musiał kombinować, szukać w ciemnych zaułkach i odnawiać dawno zapomniane znajomości. Ech, a miał nadzieję zerwać ze swoją przestępczą przeszłością.

Powoli ruszył na południe. Nie oglądał się za siebie.

II

Berserker jak zawsze był pełen ludzi. Niestety nigdzie nie spostrzegł znajomych twarzy. Sami nowi, pewnie przyjezdni. Cóż, zatrzymać się na piwo byłoby głupotą, ale z drugiej strony czy ktokolwiek odważyłby się osaczyć go właśnie tu, w siedzibie wolności?

Od niechcienia przeglądał poranne wiadomości grzebiąc widelcem w już prawie zimnej jajecznicy. Kiedy ktoś przełączył kanał na kolejny program z cyklu Fringe Science, wyłączył się zupełnie. Absalon może nie był wszechstronnie wykształcony, ale zdecydowanie posiadał zmysł, który nakazywał mu darzyć pogardą wszystko co było po ludzku mówiąc przejawem głupoty. W przeszłości niejednokrotnie odstawał od grupy rówieśników. Nie umiał się przystosować do świata rządzonego bez żelaznej logiki. Zawsze marzył o studiowaniu czegoś co było przejawem czystej symetrii, idealnego ładu i piękna, chciał móc mówić o świecie w sposób uporządkowany. Później pełen żalu wylądował w rynsztoku.

Otrząsnął się ze wspomnień. Jedzenie już całkiem wystygło, więc odsunął talerz nieco zasmucony. Ktoś znowu zmienił kanał, teraz nadawano transmisję z jednego z powszechnie obchodzonych religijnych świąt. Absalon nie należał do osób szczególnie biegłych w materii ducha. Nigdy nie szukał prawdy, nie miał potrzeby zwracania się do bogów. Poza tym nowe religie mnożyły się i prześcigały w spektakularności swoich obrzędów.

Może teraz nadeszła ta chwila? Nawrócić się? Nie to by było nazbyt patetyczne. Szczere serce Absalona nie mogłoby znieść takiego uczynku. Berserker nie był kaplicą. No chyba, że mówimy o wyznawaniu bogów obżarstwa, pijaństwa i szeroko acz dobrze rozumianej wolności. Szczęśliwi ludzie szklanego ekranu wznosili ku niebu śpiewne modlitwy.

III

- To żalosne...

Jegomość rzucający swoje zdanie w próżnię nie ukrywał zażenowania. Siedział obok Absalona i choć wyraźnie nie potrzebował rozmówcy do swojego monologu, okazja nadarzyła się sama.

- A konkretniej? – odrzekł również w próżnię. Człowiek spojrzał na niego z zaintrygowaniem.

- Religia. Ludzie już dawno powinni zawierzyć rozumowi zamiast pokładać nadzieję w zmyślonych przyjacielach. A może jesteś innego zdania? – Zapytał słodko, ale z wyraźnym błyskiem w oku.

- Nie, właściwie nie mam zdania. Jestem bezstronny. To nie mój konflikt, nie moja bajka. Nie interesuję się takimi problemami...

- To bardzo źle! – uciął dość niemiło – Przez takie podejście wchodzi nam na głowę. Zarzucają swoimi głupimi totemami, każą być poprawni, każą szanować, jaki mam mieć szacunek wobec głupoty?

- Doprawdy nie uważam, żeby to był przejaw braku inteligencji... - Absalon czuł się coraz bardziej zaszczuty. Niestety nigdy nie potrafił wycofywać się z raz podjętej rozmowy.

Kiedys w tramwaju nieopatrznie napomknął przy bliżej nieznannej staruszce o przewadze tramwajów nad autobusami, a dyskusja zeszła na jej ojca, matkę, synów (Jeden z nich był wyjątkowym nieszczęśnikiem. Najpierw uległ wypadkowi samochodowemu, później walczył z białaczką aby finalnie wyjechać do Afryki i tam odzyskawszy formę przybrać nieco na masie.), jej wypadku, problemach z chodzeniem. Dalej było o wnukach, ich zbliżających się urodzinach, prawnukach, koleżance (Która jest gruba i ma cukrzycę, więc nie może schudnąć bo musi wciąż jeść, chodzące perpetuum mobile napędzane biedą.), której wiezie kurczaka, kolegach, politykach, mediach... Nieskrępowany strumień danych. Adresy wszystkich członków rodziny łącznie z koleżanką. Dane, dane, jeszcze więcej danych i nieodpartego wrażenia, że Absalon był jedynym człowiekiem, który w ciągu jej długiego życia zechciał słuchać. Miał tylko cichą nadzieję, że ten człowiek będzie mniej wygadany. Postanowił potakiwać i udawać zainteresowanie.

- Serio? Hej, widzę, że jesteś człowiekiem z głową na karku. Pomyśl jak bardzo zacofani jesteśmy przez ludzi ograniczonych religijnym myśleniem. Ile projektów, ile badań upadło ze względu na protesty tej czy innej grupy fanatyków. Moglibyśmy panować nad życiem i śmiercią, moglibyśmy robić wszystko gdyby tylko odrzucić wiarę a jakąś wyższą siłę, która swoimi dziwnymi metodami ma nas kontrolować i oceniać.

Człowiekowi chyba nieco zaschło w gardle, więc sięgnął po szklanke. Absalon wykorzystał ten moment na skwapliwe potakiwanie. Dyskusowanie w takich sytuacjach było bezcelowe. Po pierwsze Absalon nie czuł się na siłach do bronienia racji, która go kompletnie nie obchodziła. Był bezstronny, obojętny. Po prostu porzucił nienawiść, dawał żyć każdemu wedle jego woli i nie ingerował w cudze przemyślenia.

- Osiągnęliśmy wiele, ale poziom, który był nam dany przekreśliły te ciemne wieki! To przez takich ludzi stoimy od lat na granicy i nie potrafimy zrobić kroku w przód. Rozwój jest przyszłością, a życie w iluzji go hamuje. Jak można być tak zaślepionym? Bóg, który jest wszechmogący? Wolne żarty! Religia w której mnie wychowano wmówiła ludziom, że złe uczynki zostają ukarane. Bóg dał nam prawo, mamy go przestrzegać inaczej ześle nas na wieki cierpienie w ogniu i dymie, pośród bólu, zgryzoty, gdzie bez nadziei na lepsze jutro będziemy błagać o wybaczenie, ale ono nie będzie nam dane. Dlaczego? Bo Bóg nas kocha! W tym nie ma żadnego sensu, tak jak nie ma żadnego sensu w wierze w byty, których istnienia nie da się udowodnić.

Mój, nomen omen Boże. Jak można być tak pełnym nienawiści wobec w rzeczy samej wyimaginowanego wroga. Czy ktoś narzucał temu człowiekowi swoje myślenie? Nanosił błota do domu? Czy aż tak trudno zaakceptować wizję, że niektórych ludzi po prostu przeraża wrażenie bezcelowej egzystencji w pustce, że ktoś najzwyczajniej w świecie potrzebuje widma nagrody po śmierci? Jest mu tak łatwiej i to należy uszanować. Absalon uśmiechał się coraz szerzej.

- Nie ma więc żadnych nadrzędnych wartości? Poza rzecz jasną rozwojem.

- Jest jedna. Człowiek. To on powinien stać na pierwszym miejscu, bo to on jest najwyższym tworem

ewolucji. Gdybyśmy prawdziwie znali swoją wartość, swoją moralność jako panów świata nikt ani nic nie byłoby w stanie powstrzymać zjednoczonej potęgi globalnego intelektu. Jesteśmy Bogami, nasza moralność winna się o to opierać. Wielu już tak mówiło i ja podpisuję się pod ich słowami. Nigdy nie widziałem człowieka, który nie byłby Bogiem.

- Cmentarze są ich pełne... – Dodał, wciąż wesoło uśmiechnięty.

Zapanowała niezręczna cisza.

IV

Park o tej porze roku nie prezentował się najokazalej. Rośliny batożone nieubłaganym ultrafioletem protestowały na znak swojego buntu wywieszając żółknięte liście. Pogoda była śliczna, więc liczni spacerowicze nie narzekali na trwającą dość długo suszę.

Wbrew pozorom to lato, a nie wiosna jest porą zakochanych. Możliwe, że to odmienność Absalona rokrocznie doprowadzała go do mylnych wniosków, jednak długoletnie obserwacje zdawały się potwierdzać tę szaloną tezę. Zróżnicowane pary snujące się leniwie po tym skrawku zieleni również przemawiały na jej korzyść.

Absalon stawał się mimowolnym świadkiem niekiedy pewnie i epokowych momentów. Kto wie, może ten niezbyt urodziwy brunet i ta całkiem ładna dziewczyna o włosach koloru błękitnego spłodzą przyszłego genialnego naukowca? Polityka? Może para, która właśnie zboczyła z dość obleganego chodnika i w sobie tylko wiadomym celu zmierzała w stronę krzewów kiedyś dokona czegoś wielkiego? Ludzie są nadzieją tego świata. Jest nieco prawdy w tym, że są Bogami, ba, przynajmniej mogliby nimi być gdyby tylko łaskawiej patrzyli na innych sobie podobnych.

Wraz z tymi refleksjami przyływały strzępki rozmów, zdania wyrwane z kontekstu. W większości były to zwykle konwersacje, czasem zapewnienia dozgonnego uczucia, gdzieniegdzie przewijała się jakaś głębsza myśl wykraczająca poza medialną papkę, którą karmione było społeczeństwo. Ktoś mówił o książkach, Inny o muzyce tłum żył i myślał wspólnym mózgiem.

Absalon usiadł na ławce. Ludzie przesuwali się, jak na zwolnionej taśmie filmowej, lato królowało nieboskłonem. Nikt nie chciał umierać.

- Tak, tak kochanie. – Chłopak rozmawiający przez telefon był kłębkim nerwów. Zachowywał się jakby jego życie wisiało na włosku. – Nie, naprawdę nie mogłem odebrać. Przepraszam, byłem zajęty. Nie złość się. Tak, tak, jasne, w parku, tak, odwiozę na dworzec... Mhm... Tak... Ja mocniej!

- Hej, chłopcze! – Absalon zamachał ręką aby zmanifestować swoją lokalizację. – Chodź no tu!

Chłopak podszedł z niejakim ociąganiem. Kiedy znalazł się bliżej, Absalon mógł stwierdzić, że ta biedna, zastraszona istota urody dość pospolitej i natury raczej płochliwej wzięła sobie na karb zbyt wielki ciężar.

- Powiedz mi, ile masz lat?

- Siedemnaście.

Absalon pokiwał głową w zadumaniu. Naprawdę nie wiedział jak zacząć tę rozmowę, ale czuł, że musi pomóc. Sam kiedyś był w analogicznej sytuacji, widział wielu ludzi stojących na tym niebezpiecznym urwisku. Wyszedł z opresji obronną ręką, inni jemu podobni też nauczyli się odpowiedniego postępowania, ale wielu było zbyt słabych lub zbyt zaślepionych. Należało im otwierać oczy. Czasem to też nie przynosiło skutku. Wtedy pozostawało jedynie czekanie i wiara w cuda.

- To piękny wiek. Czemu dajesz się zniewolić?

- O czym pan mówi?

- Dziewczyna? – Spytał retorycznie, palcem oskarżycielsko celując w telefon.

- Tak?

- Awantura za to, że pewnie dzwoni od godziny, a ty nie odbierasz. Nasłuchałeś się co nie chłopcze?

- Tak... - Szepnął, po czym machnął ręką i usiadł obok Absalona nie czekając na zaproszenie. – Zawsze to samo. Naprawdę byłem zajęty, ale ona tego nie rozumie. Jest kochana bo martwi się o mnie.

- I wymaga posłuszeństwa?

- Co też...

- Pewnie robi karczemne awantury o byle sprawę, jest wyniosła i arogancka?

- Każdy ma gorszy dzień!

- Chłopcze. Powiem tyle, żyję na tym świecie dość długo żeby móc udzielać rad na poziomie, na którym jest ci ona potrzebna. Miłość nie jest służbą. Nikomu nie musisz być poddany. Masz szanować ją tak, jak ona szanuje ciebie. Ja wiem, że to trudna sytuacja. Chemiczne zaburzenie w mózgu nie jest łatwe do opanowania a jesteśmy na tyle humanitarni że nie podjęliśmy się wynalezienia lekarstwa uśmierającego weltschmerz. Ale musisz siebie szanować. Egoiści nie potrafią kochać prawdziwie.

Chłopak milczał i wpatrywał się w ziemię. Absalon czuł się podle, jak za każdym razem kiedy rozbijał czyjeś marzenia. Jednak wiedział, że gorzki lek jest jednocześnie najlepszym. Miał nadzieję, że robi dobry uczynek.

- Pewnie nie raz sam usłyszałeś że jesteś egoistą, co? Nie musisz potwierdzać. Wmawiała tobie jej własne wady, to typowe, projekcja. Nie martw się tym. Nie daj się manipulować, bądź wolny a wtedy dopiero będziesz szczęśliwy. Nie wiem jak bardzo jesteście zażyli, nie znam waszej sytuacji więc moje mądrości są zapewne bezpodstawne. Ale wnosząc z twojej reakcji trafiam dość blisko. Przemyśl to. Zrób co uważasz, ale daru spojrzenia z innej perspektywy, który teraz otrzymałeś już się tak łatwo nie pozbędiesz. Trudno jest manipulować ludźmi oświeconymi.

Chłopak milczał przez bardzo długą chwilę. Ludzie nadal przewijali się jak w zwolnionym filmie, nie zauważając swej wzajemnej obecności. Ptaki umilkły na czas poszukiwania cienia, południe powoli odchodziło w zapomnienie.

- Czasami zachowuje się jakby była najważniejszym człowiekiem na Ziemi... - Szeptał patrząc na Absalona zmęczonym wzrokiem.

- Chce być czczona. Posiadanie oddanych wyznawców jest kuszącą ideą. Władza nad ludem, rząd dusz, kukielki gotowe tańczyć na skinienie palca. Ludzie w naśladowaniu Bogów zawsze małpują cechy gwarantujące różnie definiowaną MOC. Nikt nie chce być Bogiem miłosiernym, sprawiedliwym, najzwyczajniej w świecie – dobrym. Im wcześniej naprawisz jej myślenie, tym lepiej. Może jeszcze nie wszystko stracone. Pamiętaj tylko jedno: ona nie jest Bogiem.

Dziewczyna przysłała w przeciagu kwadransa. Wyglądała całkowicie niepozornie, nikt nie podejrzewał jakie spustoszenie zasiała w sercu tego biedaka. Przywitali się dość chłodno i powoli odeszli w stronę fontanny.

Absalon uśmiechał się szeroko. Chłopak zaczął mówić.

V

W metrze reklamowano nowy, rewelacyjny środek na ból głowy. Jakież to subiektywne wrażenie, ulotne i dość trudne do zaklasyfikowania. Jak wiele może powiedzieć o przypadłości trapiącej człowieka, wskazać swą przyczynę, wytypować sposób leczenia. A ludzie zwykli barbarzyńsko pozbywać się go prostą aspiryną. Hamowanie cyklooksygenazy, jakież to patetyczne.

Absalon zdecydowanie nie lubił leków. Starał się unikać wszelkiego rodzaju pigułek czy też pastylek, stronił od syropów i inhalacji. Uczucie niechęci towarzyszyło mu od zawsze, nie miało ono jakiejś wyraźnej przyczyny. Może to zwiększony próg bólu, może życie na tyle łatwe i przyjemne, że medykamenty nie były konieczne. Nie potrafił odpowiedzieć.

Uśmiechnięta pani rozradowanym głosem tłumaczyła, że na zawsze pożegnała trapiące ją migreny. Ból nie przemija. Prawdopodobnie każdy doświadczył wielu jego form i zdecydowana większość potwierdzi, że ten nieuleczalny jest najbardziej frustrujący. Zadra zdrady tkwiąca w człowieku, okruczeństwo porzucenia mrozący duszę, czy też rana samotności, jedna z najgorszych w ludzkim życiu. Czym jednak są one w porównaniu z klasterowymi bólami głowy? Niczym, ale cóż, o tych drogich nikt raczej nie zaśpiewa ani nie napisze poczytnej książki. Ludzi zdecydowanie bardziej pociągają serca.

Reklamy abdykowały na rzecz wiadomości z ostatniej chwili. Na tronie naściennego monitora zasiadła w chwale i pełni potęgi informacja o niedawnych zamachach bombowych w jakimś mało znanym miasteczku. Wielu zginęło, nikt nie chciał przyznać się do odpowiedzialności za tę zbrodnię. To dosyć nietypowa sytuacja. Nikt nie chciał przyznać się do swej wszechmocy.

Wszak odebrał życie tylu jednostkom. Zebrał w sobie pokłady siły i determinacji aby zrealizować czyn tak wielki. Współcześni Bogowie byli szaleńcami. Od skinienia ich palców zależało życie innych. Czyż to nie władza absolutna, potęga większa niż cokolwiek co może osiągnąć człowiek? Brutalna wszechmoc, panowanie nad masami, posłuch i trwoga, którą wzbudzali. Tego właśnie pragnęli, strachu, z którego płynął szacunek i posłuszeństwo. Czemu więc nikt nie chciał wziąć na siebie glorii zwycięstwa? Ubrać się w krwisty laur i na kościanej lektyce paradować środkiem miasta, to tak pociągająca wizja!

Może bali się linczu? A gdzie tam, bzdura. Ludzie od wieków uwielbiali czarnych bohaterów. Fascynacja złem i nieprawością sięga pierwotnych źródeł naszej cywilizacji. Trudno więc zgadywać,

czemu nikt nie chciał czerpać ze źródła sławy. Może ten, kto to zrobił, miał wyższe, szlachetniejsze pobudki do działania? Strwożony swą potęgą ukrył się i dopiero kiedy w pełni zrozumie rozmach swego dzieła da się publicznie ukrzyżować, aby w oczach niektórych objawić się jako męczennik? Nie wiadomo, czas pokaże.

Ludzie kołysali się delikatnie, jak nitki morszczyzny zawieszona w toni jeziora. Falowali miarowo, sprzężeni w ścisku, poruszani wychyleniami wagonu. Wyglądali jak morze, spokojne, miarowo uderzające o brzeg. Przygaszone światło malowało na ich obliczach zmęczenie i obojętność tak charakterystyczną dla jednostki zagubionej w tłumie. Byli skutkiem nieznanych reakcji.

Absalon myślał o nich, bezwiednie parafrazując słowa starsze od niego. Cóż miał zrobić z falami niepewnymi swej pozycji, niezdecydowanymi czy są pierwszym czy też ostatnim podrygiem nadrzędnej im siły. Myślał, że mogą wyznaczyć linię brzegową, zdefiniować ją swoim nieprzerwanym cyklem wymywania i akumulacji. Lecz ona tańczy wraz z nimi, jak najlepsza partnerka w rytmie i ruchu lustrzanie zgodnym w fazie. W końcu nikt już nie wie, jak długie jest wybrzeże, gdzie ląd znajduje swój początek i dokąd zmierza. Fale wiecznie oscylują, wirują i w ich obrębie ludzkie oko nie uświadczy niczego stałego. Nawet światło księżyca ulega temu złudnemu tańcowi. To właśnie potrafią robić ludzie, oscylować, mieszać się i zmieniać nie przynosząc żadnego skutku poza jarmarcznym przedstawieniem, jakie serwują innym swoim pięknym życiem.

Morszczyzn falował delikatnie, zagubiony w swym zabieganiu, zapomniany i porzucony. Światła rozbłysły mocniej, aby po chwili zgasnąć. Wagon zatrzymał się ze zgrzytem.

VI

Zupełna ciemność zgrabnie oszukuje nasze zmysły. Wzrok pozbawiony bodźców, zaczyna tworzyć wizje, malować zamazane kształty i niewyraźne kontury tak jakby przywykły do aksamitnej czerni zyskał nagle nowe spektrum widzialności.

Absalon spostrzegł w tej czerni szary zarys jej twarzy majaczący w drugim końcu wagonu. Po chwili cała sylwetka, jaśniejac coraz mocniej stanęła kilka metrów przed nim, niczym znak wskazujący drogę ewakuacji. Ludzie nawet nie panikowali, spokojnie szli w stronę wyjścia. Absalon zastygł, stojąc niczym słup wbity w dno morza, omywany przez gorące fale tłoczących się ludzi.

Wokoło rozbrzmiewał śpiew ptaków.

Pierwsze kępki trawy wykiełkowały wokół jego nóg. W mgnieniu oka ziemia aż po horyzont pokryła się soczycie zielonym dywanem. Rozliczne kwiaty wplecione misternie w mozaikę źdźbeł wybijały się swymi tęczowymi barwami, kusiły okoliczne motyle i pszczoły.

Stała na pobliskim wzgórzu, zwrócona twarzą w kierunku północnym. Delikatny wiatr przeczesywał pasma jej włosów. Była piękna, taka jaką ją zapamiętał. Cała w bieli, kusząco niewinna. Mówiła, chociaż nie otwierała ust. Słowa przepełnione mądrością zamieszkały w jego umyśle.

Był bogobójcą. Czy to nie na nim spoczywała odpowiedzialność za losy świata? Czyż on nie jest zbawieniem, maszyną zagłady, wojownikiem dobra? Ma możliwość zniszczenia zła. Potrafi to uczynić, pierwszy krok ku przemianie miał za sobą, wystarczyło teraz iść uporczywie w obranym kierunku. Ona chciała krwi tych, którzy mianowali się Bogami. Jej słowa były słodkie i odurzające.

Czy jednak każdy z samozwańczych absolutów może być traktowany na równi z innymi? Cóż, chyba tak. Czy można porównać odebranie życia wielu ludziom ze zniszczeniem i upodleniem jednego? Niestety brakuje skali, nie ma odnośnika a implikacje wynikające z obydwu przypadków nakładają się na siebie tworząc siatkę powiązań trudnych do przewidzenia. Nie ulega natomiast wątpliwości to, co władcy moralności głoszą od dawna: słowo zabija równie skutecznie co nóż. Taka rana przeziera wszystko i dociera wgłęb serca. Kala psychikę, niszczy pewność siebie, może piętnem wielu lat zamknięcia się w sobie przekreślić szczęście drugiego człowieka.

Możemy zabić kogoś negując go, ubliżając mu, poniżając, wyśmiewając. Możemy zabić nieopatrznie, mówiąc jakieś niewyważone, często głupie i nieprzemyślane zdanie. Możemy wreszcie z sadystyczną rozważą i chorą przyjemnością znęcać się nad kimś psychicznie, tłumacząc to najprzeróżniejszymi okolicznościami. Zabicie ducha powoduje śmierć ciała. Saepe est etiam sub palliolo sordido sapientia. Niestety, równie często pod płaszczem ubogiej mądrości, skrywa się zazdrość, zaborczość, zło i chęć posiadania drugiego człowieka na własność.

Ona wydawała się być świadoma swojego wpływu. Upajała się boskością. Powinna ponieść karę. Tak samo odpowiedzialni za zamach. Uznawszy się za wszechmocne istoty popełnili czyn o nieprzewidywalnych skutkach. Głos dziewczyny śpiewał o sprawiedliwości.

Może to wynik zepsucia obyczajów, buntu młodych, zatracenia wszelkiego szacunku dla innych. Podobno odkąd istnieją ludzie, zawsze wypatrywano końca świata, narzekano na współczesność i pogarszającą się jakość chleba. Czy jest więc potrzeba interwencji? Czy konieczne jest mieszanie się w przebieg zaplonowanych zdarzeń, korygowanie rzeczywistości i stawianie się w roli oskarżyciela? Powiedziano – nie sądz.

Dziewczyna wyciąga nóż. Jego ostrze lśni tak pięknie, klinga śpiewa, w rzewnej melodii łaknie ciepłej posoki, chce zasmakować ciała. Absalon nie potrafił go uchwycić. Potrzebował czasu.

Dziewczyna rozplynęła się we mgle. Wciąż napierający tłum powoli przesunął go w kierunku wyjścia, które zaczynało świecić delikatnie awaryjnym blaskiem ostrzegawczych lamp.

Ewakuacja przebiegła nad wyraz sprawnie.

VII

- Rzuć pan grosz dla weterana!

Słońce schodziło coraz niżej, powoli dobiegając ostatniego etapu swej codziennej wędrówki. Człowiek stojący nieopodal stacji metra był inwalidą. Do kompletu cielesnej powłoki brakowało mu lewej nogi poniżej kolana oraz sporej części prawej dłoni. Jedno oko miał zasłonięte, prawdopodobnie było wylupione. Liczne i rozległe blizny po cięciach jak również poparzeniach oplatały jego ciało siatką żywej lekcji historii.

Absalon wygrzebał z kieszeni kilka drobniaków. Weteran spojrział na niego wzrokiem pełnym bólu. Mieszanka goryczy, wstydu i dawnej buty świeciła w jego oczach drobnymi iskrami. Kto miał uszy, ten słyszał, kto miał oczy – ten zobaczył. Absalon poczuł na całym ciele technienie historii, coś jak lekkie uderzenie wiatru przynoszące odpowiedzi na nigdy niezadane pytania. Historia człowieka odtwarzała się przed jego oczami.

Szli powoli, bez zbędnej nieostrożności. Wokół nich roztaczało się puste przedpole, przeorana bombami i

pociskami przestrzeń, nieużytek od niedawna zagospodarowana przez śmierć. Wstąpili na przestwór martwego oceanu dobry kwadrans temu. Od tej pory nurzali się po kolana w gruzie i złomie zarówno maszynowym jak ludzkim i brnęli pomalutku, do przodu, sunąc pomiędzy wyspami z wraków opancerzonych transporterów. Słońce zachodziło przed ich twarzami, malowniczo opalizując w kałużach niedopalonej benzyny. Kiedy czerwone płomienie zniknęły za horyzontem, gubiąc się w ostatnim migotliwym refleksie porzuconego cekaemu, zatrzymali się nasłuchując. Ich uszu nie dobiegł żaden głos.

Niewielu przeżyło nocną obławę.

Szare i zimne fale rozbijały się na jego twarzy. Nurkował wiele razy. Pod wodą było ciemno, noc sięgnęła nawet w nieprzyjazne odmęty. Wyszarpował ludzi uwięzionych w autobusie, jednego za drugim. Ręce nie potrafiły znaleźć uchwytu, rozdęte balony ubrań majaczyły w granatowym piekle niczym leniwe meduzy kpiące z jego trudu. Szyby pękały kalecząc mu dłonie, pogięta blacha zrywała płaty skóry z przedramion. Płuca coraz częściej wypełniały się wodą, zmęczone mięśnie sztywniały nie mogąc zapewnić sobie dostatecznej porcji ciepła i energii. Uratował tylu, ilu tylko potrafił. Wyrwał też kilka siedzeń i właśnie to marnotrawienie czasu do dziś nie pozwalało mu spokojnie spać. Zemdłał, nim migoczące koguty odbiły swe światło w szarej toni jesiennego jeziora.

Oszukał śmierć, zawarł z nią pakt. Całe życie spłacał swój dług.

Płomienie lizały niedawno zabliźnioną skórę. Nie był już tak wydolny jak kiedyś, nie potrafił nabrać pełnego wdechu, stracił wiele z młodzieńczego wigoru. Mimo to nie czekał na rozkaz. Czerwony anioł stróż rozłożył nad nim swe skrzydła, ale on nie chciał jego protekcji. Dym gryzł w oczy, swąd palonego ciała wdierał się w nozdrza, adrenalina huczała echem w mało podatnych tętnicach. Prowadzony jej zewem odnalazł tych, którzy nie pomarli od ognia lub zaduszenia.. Wyprowadził ich bezpiecznie poza teren szkoły. W ich oczach szklily się łzy przerażenia. On był już chyba zbyt przyzwyczajony aby okazywać uczucia.

Nie bał się śmierci. Wiedział, że nie zabierze go przed spłaceniem długu, który zaciągnął tamtej nocy, pośród wraków opancerzonych transporterów. A jeżeli przyjdzie i na niego ostatnie powołanie, to będzie pewien, że zrobił wszystko co było w jego mocy aby zostawić po sobie świat nieco lepszy, niż ten, który otrzymał w spadku po minionych pokoleniach.

Pieśń o bohaterach skończyła się dźwiękiem upadającej monety.

Bóg Miłosierny. Absalon spotkał właśnie manifestację najprawdziwszego dobra, twór godny wstąpienia w Panteon. Głos ukochanej, który wciąż słyszał w swojej głowie mrucał z zadowoleniem. Czyż nie tak powinni zachowywać się wszyscy dzisiejsi Bogowie? Taki świat chcielibyśmy znać, o tak! Rzeczywistość, w której każdy jest dobry i szlachetny, to da się zrobić, projekt już dawno został napisany teraz należy jedynie znaleźć wykonawcę, który chwyci za nóż. Tak niewiele a zarazem aż tyle potrzeba aby nadszedł ostateczny sąd nad nieprawością.

Absalon coraz mocniej pragnął przyczynić się do początku końca, wprowadzić nowy ład, być cynglem, który wiedziony pewnym i mocnym palcem doprowadzi do zapłonu, zrównującego wszystkich ludzi. Jego dłoń coraz częściej gładziła rękojęść noża. Głos szeptał słodko.

Weteran skłonił się delikatnie, lecz Absalon już tego nie spostrzegł. Powolutku zmierzał do kresu swej wędrówki.

VIII

Zmierzch był coraz bliższy, na oko cztery palce dzieliły słońce od linii horyzontu.

Kawałek niezagospodarowanego placu pomiędzy stacją metra a parkiem stał się drugim domem dla wszelkiej maści artystów-samouków, którzy prezentując swoje niekiedy dość wyszukane talenty, całkiem uczciwie zarabiali na chleb. Niekiedy starczało im nawet i na szynkę.

Dzisiaj było ich niewielu. Ktoś grał na perkusji złożonej z plastikowych baniaków, kilku przedstawicieli zapomnianych kultur prezentowało swoje pieśni i plemienne tańce. Ludzie sennie spacerowali, nie zatrzymując się zbyt długo przy żadnym z artystów. Niedługo miało się to zmienić. W odległym kącie człowiek ze Stratocasterem rozgrzewał palce. Z uśmiechem obserwował tłum, który do tej pory oporny na wdzięki muz, zaczął zbierać się wokół niego.

Nad cichy pomruk tłumu wzbijał się jeden, czysty i klarowny dźwięk. Rozdzierający jęk sięgnął szczytu swej amplitudy i szybko opadł przez istotne tony skali w dolne rejestry, aby zadrzeć nisko miłym przesterowanym basem. Absalon rozpoznał w nim Malmsteena.

Człowiek był zręczny. Miał ponadto to czego wielu gitarzystom brakowało, grał całym sobą i potrafił przekazać uczucia za pomocą swojego instrumentu. Ludzie chętnie wrzucali mu drobniaki, niektórzy nie szczędzili nawet większych sum. Wiedzieli, że artysta nie weźmie dla siebie ani grosza. Grał tu od wielu lat i nieprzerwanie całość dochodu przekazywał potrzebującym. Wspierał duże akcje charytatywne, prowadził szkoły dla biednej młodzieży, kupował potrzebne produkty. Znany był szeroko ze swojego dobrego serca. Jak sam mówił: kocha ludzi. Nie miał własnego studia, zarabiał w bliżej nieznanym zawodzie a mimo to zawsze znajdował czas na upiększanie świata.

Bóg Muzyki swoim talentem rozświetlał szarą rzeczywistość.

Dołączył do niego anonimowy basista, perkusista-improwizator dopasował się rytmem, a jakiś czarnoskóry jegomość podjął się roli wokalisty. Tak prowizorycznie skompletowany zespół, po krótkiej naradzie zaczął grać klasyczne Hoochie Coochie Man, w wersji takiej jaką w dawnych czasach przedstawił Buddy Guy. Radosna reakcja tłumu potwierdziła tezę mówiącą, że blues jest nieśmiertelny.

Absalon opuścił plac nim cyganka wywróżyła przyszłość podmiotu lirycznego. Mimo to śpiew towarzyszył mu przez wiele metrów samotnej wędrówki.

IX

Biegł. Był w tym nienaganny, co jest praktycznie niemożliwym, przecież nie ma ludzi, którzy nie popełniają błędów. Mimo to w jego ruchach nie sposób było doszukiwać się jakichkolwiek braków. Doprawdy niezwykła sylwetka. Może to kwestia idealnego wręcz oświetlenia, które w swych ostatnich tego dnia rozbłyskach wydobywało szczegóły tego nadludzkiego obrazu? Trudno zgadywać. Sprężysty, płynny i precyzyjny krok, wzorcowa praca ramion, książkowe wręcz przetoczenie stopy, ewidentna świadomość najmniejszego nawet gestu.

Ideal siły?

Nie był przesadnie przystojny, jednak zdecydowanie zwracał uwagę. W jego ładnych, regularnych rysach było coś tak szalenie pierwotnego i wzorcowego, jakby był formą, z której w zamierzonych czasach wyciągnięto rodzaj ludzki. Oczy zeszlone radością płonęły delikatnym, spokojnym ogniem determinacji.

Był symetryczny, sprawny, znał możliwości swojego ciała. Ideał piękna?

Epatował mądrością. Bogaty w życiowe doświadczenia, sprytny i zwyczajnie inteligentny roztaczał wobec siebie aurę spokoju i bezpieczeństwa. Ten człowiek dążył do samodoskonalenia. Skupiony na rzeźbieniu ciała nie zaniedbywał intelektu, ani ducha. Był tworem perfekcyjnym, świadomym swych potrzeb, rozwijającym się wielokierunkowo. Nie często spotyka się takie jednostki, jednak kiedy już uda się uchwycić jedną z nich łatwo zauważymy, że posiada ona w sobie pewną moc, siłę, która pozwala mu na bycie kimś wartościowym, potężnym, wzbudzającym zasłużony podziw. Nietzsche nazwałby go nadczłowiekiem.

Absalon obserwował go w niemym zachwycie. Nie wierzył w przypadkowość tego spotkania, uznał je za znak, obwieszczenie zesłane mu przez przeznaczenie, wzywające do walki. Ta krótka chwila przywróciła mu nadzieję w przyszłość rodzaju ludzkiego. Wszystkie zdarzenia, których był świadkiem utwierdziły go w przekonaniu, że należy walczyć o lepsze jutro. Przecież Bogowie potrafili być miłującymi, współczującymi, dobrymi, czy też najzwyczajniej w świecie pięknymi istotami. To właśnie dla takich warto było zaprowadzić nowy porządek. Głos w jego głowie nie musiał już niczego mówić, Absalon rozumiał odpowiedzialność, która na nim spoczęła.

Nim pierwsze płomienie posłały ku niebiosom kłęby dymu, słońce utonęło za migotliwą ścianą wieżowców. Księżyc stał się biernym obserwatorem festiwalu krwawych danin.

CHILDREN OF THE ELDER GOD

I

Śledził ją dość długo. Noc była tak piękna, gorąca, wiatr ustał zupełnie. Ciche pomrukiwanie zaułków było przewodnikiem jego rządu. Ulice Nowej Warszawy z chęcią przyjmowały w swe wąskie labirynty nowych szaleńców.

Żyłami miasta płynęła krew splamiona i zbrukana, która porzuciwszy swój laminarny przepływ burzyła się, dając podwaliny dla teorii chaosu deterministycznego.

Klub znajdował się pod ziemią, Absalon nie zanotował w pamięci jego nazwy. Była to stara, opuszczona piwnica, kilka połączonych ze sobą pomieszczeń o ścianach i suficie wybudowanym z surowej, naturalnie czerwonej cegły. Łukowate, gościnne sklepienia mieściły wielu ludzi, którzy rozlokowani na czarnych, skórzanych kanapach poustawianych jak gdyby w łóżach spędzali czas w swój ulubiony sposób. Było ciemno i duszno od dymu. Neonowe napisy o dawno zapomnianej treści niemrawo świeciły ze ścian.

Na scenie występował mało znany, choć zdecydowanie intrygujący zespół. Splątane litery ich logotypu obwieszczały światu dumną nazwę Nekroberus. Muzyka, którą wykonywali umykała sztywnym ramom kanonicznej definicji. Po prostu grali wszystko, mieszając style i wpływy. Perkusista nie zwykł siadać, jego ekspresyjna gra przywodziła na myśl szamański trans dawnych afrykańskich plemion. Klawiszowiec otoczył się elektroniką, którą chyba tylko on potrafił obsługiwać. Gitarzyści preferowali sprzęt archaiczny z umiłowaniem do Les Pauli chociaż nie sposób było powiedzieć, czy były to wyroby oryginalne, czy też lutnicze kopie. Basista zdawał się nie kontaktować z rzeczywistością a wokół, cóż, wokół to było coś czego scena nie widziała od czasu Judas Priest.

Zachwycali. W ich zespole nie współgrało nic, prócz muzyki. Każdy z członków zdawał się być

fantastycznym stworzeniem z innego uniwersum, nawet stroje pokrywały spektrum od typowego Black metalowego wizerunku po schludny, wręcz ascetyczny styl wypracowany przez Blixę. Właśnie zakończony utwór był raczej trudny w odbiorze, nie sposób było zrozumieć treści jego przekazu. Sądząc po reakcji ludzi anglosaski tekst zaprezentowany gardłowym rykiem przy akompaniamencie gitar opuszczonych w C był tym, czego potrzebowali. Było tam coś o śmierci, to pewne, lecz Absalon nie potrafił wyłowić niczego ponad to. Zwykli na płytach, ale też i na koncertach przeplatać ciężkie utwory lekkim, melancholijnym bluesem, albo radosnym reggae. Nie znali granic, albo się ich kochało, albo nienawidziło.

Tym razem przyszedł czas na piosenkę niespodziankę. Już pierwsze, charakterystyczne arpeggio D#m spowodowało falę euforii. Nim głos, który przywodził na myśl Dio, doszedł do refrenu otrzymał wsparcie całutkiej publiki.

Trzymała się na uboczu. Nie zdradzała żadnych oznak zdenerwowania, nie miała zresztą prawa podejrzewać tego co miało ją spotkać. Bawiła się wybornie. Właśnie poznała jakiegoś postawnego bruneta. Ich znajomość opierała się na dość skąpych dialogach, ale kontakt niewerbalny, którym operowali był na tyle dosadny, że nawet najbardziej beznadziejny w swej naiwności romantyk wiedział gdzie i jak skończy się ta znajomość. Absalon nie potrzebował innych dowodów.

Tutaj nie wchodziła w grę sprawiedliwość, czy też zemsta. Sprawa sięgała dużo dalej. Tak jak w przypadku zamachowców z tunelu i tu kolejne osoby wplątały się w nieszczęśliwą sieć przypadków. Cóż jedno pęknięte serce, to problem globalnie nieistotny i statystycznie wart pominięcia. Co innego sieć załamanych ludzi, wykorzystanych i porzuconych. Nikt moralnie nieskazitelny, godny miana człowieka sprawiedliwego i uczciwego nie może pozwolić na szerzenie się tej plagi. Działania prewencyjne należy podjąć bez zwłoki. Nikt nie powinien przywłaszczać sobie mocy, która nie była mu przeznaczona. Ludzie mają być sobą i spełniać wymogi ustalone dla ich rodzaju. Ci, którzy uznali się za Bogów i władają jednostkami słabszymi od nich samych do końca życia nie pozbędą się swojego poczucia wyższości. Tylko jednym sposobem można strącić koronę z ich głów. Bezwładne ciało samo spadnie z tronu.

Najpierw ona, później – cały Panteon.

Wstała z jego kolan. Żegnana niezbyt zadowolonym spojrzeniem oddaliła się w kierunku toalet. Korytarz prowadzący do nich był ciemny, ktoś musiał z czystej złośliwości wykręcić żarówkę. Szła nieco chwiejnie, szukając drogi po omacku. Każdy jej krok obarczony był brzemieniem irytującego, miękkiego echa, tak jakby cienie podążały z nią tą samą ścieżką.

Oślepiąca piekielnymi jarzeniówkami zatrzasnęła drzwi. Pochyliła się nad umywalką, w jej głowie wirowało. Nie mogła zauważyć coraz większej twarzy kipiącej rządzą mordą wprost z lustra. W uszach słyszała jedynie szum, przez który nie wybijał się dźwięk zbliżających się nieubłaganie kroków. Oczy, wlepione w ceramiczną twarz umywalki nie miały możliwości ostrzec reszty ciała przed złowrogim blaskiem metalu.

Krzyk rozbił się na zielonkawych kafelkach.

II

Absalon uciekał. Nie wykonał zadania, był zły na siebie, ale przede wszystkim przepełniało go przerażenie. Nie potrafił zaakceptować tego co zobaczył. Nie był sobą. Twarz, którą widział w lustrze,

jego-nie jego oblicze, stało mu się nagle zupełnie obce, jak gdyby znalazł się w ciele innego człowieka. Chciał z odrazą odrzucić swoją obrzydliwą, cielesną powłokę, tak jak kiepsko dobrany przeszczep oddziela się naturalną drogą od organizmu, ale wiedział, że to niemożliwe.

Głos rozbrzmiewający w jego głowie syczał wściekłością. Był chórem miliona skowytów, armią synchronicznego krzyku. Ona nie pragnęła krwi, ona jej żądała. Ten zew pozbawiał go świadomości, szumiał niczym stado szarańczy, uniemożliwiał skupienie. Głos stał się ciałem, prześladowca przyjął widzialną formę.

Bardzo długo próbował ją zgubić, lecz nie potrafił powiedzieć ile czasu biegł, ani jaką trasę przemierzył. Jak przez mgłę pamiętał roztrącane grupki ludzi, ciekawe, przepelnione strachem spojrzenia, lecz nie układały się one w logiczną całość. Doganiała go, mimo nadludzkiego wysiłku jaki wkładał w ucieczkę. Wciąż czuł jej lodowaty dotyk na karku, musiał biec, choć wiedział, że to za mało. Zdawała się chichotać, lecz był to dźwięk pozbawiony wszelkich przyjaznych uczuć. Podobny do gadziego syku, wstrząsający dreszczem ciało nawet najzuchwalszych ze śmiertelników.

Zatrzymał się dopiero, kiedy wybiła północ. Trwożnie obrócił się, jednak zjawy nie było w pobliżu. Mimo to serce miał przepelnione strachem, pustka i poczucie bezradności spowalniały jego ruchy, krępowały myśli. Był zupełnie sam w ciemnej studni betonowego osiedla. Z oddali dobiegł go pisk opon, ktoś krzyknął w swym mieszkaniu. Te dźwięki nie mogły dodawać otuchy, wprawdzie gdzieś tu, w tym księżycowym krajobrazie nocnego miasta gnieździła się jakaś forma życia, lecz nie chciała wyjść z ukrycia i nawiązać kontaktu.

Musiał odnaleźć siebie, odrzekać swą tożsamość w wielomilionowym śmietnisku dusz. Powoli zaczął zapępniać podarowaną mu pustą kartę.

III

Włóczył się po okolicy nie potrafiąc odnaleźć celu ani sensu swojego działania. Myśli, wciąż skołatane i niekompletne wirowały w jego głowie i nie dawały się uspokoić.

Beznamiętnie ominął bezdomnego, proszącego o kilka drobniaków, nie zauważył zdechłego kota leżącego na środku chodnika i bezwiednie rozwłóczył jego resztki w odległości kilku metrów. Doszedł do skrzyżowania i dopiero nieludzki rechot dobiegający uszu sprawił, że wyrwał się z letargu.

Było ich trzech. Wsiadali do samochodu a jęczący bałagan, który zostawili na chodniku był sprawcą całego zamieszania. Dziewczyna, tak przynajmniej należało wnioskować po ubiorze, leżała w pozycji embrionalnej, otoczona szkarłatem. Była bita i kopana, takie wrażenie można było odnieść na pierwszy rzut oka. Absalon zareagował odruchowo.

Podbiegł do dziewczyny zdołując chodnik coraz to mniejszymi plamkami kociej krwi. Oddychała, ale była nieprzytomna. To zabawne, Absalon przysiągłby, że jeszcze przed chwilą słyszał jej jęki. Nie wyglądała zbyt przyjemnie, panowie najwyraźniej biegli w katowaniu nie pobrali nauk dobrego wychowania. Nie miała żadnych ran klutych, ani ciętych, nie używali też tępych narzędzi. Same ciosy i kopniaki.

Mimo ogromu obrażeń jej twarz była spokojna. Wykwitały na niej tęczowe plamy siniaków, nos był doszczętnie połamany a jedno oko już zaczynało puchnąć. Absalon uważał, że jest piękna.

Mimowolnie dotknął jej policzka. Delikatne ukłucie, coś jak drobna isierka przepływająca na czubek palca z naelektryzowanego swetra sprawiło, że pośpiesznie odsunął dłoń. Dziewczyna otworzyła nienaruszoną powiekę i przez chwilę patrzyła na niego wzrokiem, który znał aż nadto dobrze. Poczł, że jego wnętrzości topnieją jak gdyby były z ołowiu. Miłość zawsze zaczyna od przemodelowania organizmu.

Przez chwilę czuł się prawdziwie szczęśliwy.

W porę zauważył jej uśmiech, szyderczy, krzywy, ukazujący w krwawym strumieniu ust białe otoczaki połamanych zębów. Zdążył uskoczyć przed jej ciosem.

Zjawa, Bogini Łowów i Wiecznego Gonu znów go odnalazła.

IV

Była zdegenerowanym tworem, istotą chaosu, potwornym dzieckiem groteski. Stała niezdarnie utrzymując pion na szeroko rozstawionych nogach. Splunęła, a białe perełki niczym pstrągi popłynęły czerwonym wodospadem wprost na spotkanie z chodnikiem.

Wyciągnęła ręce ku Absalonowi. Prawa, złamana otwarcie w przedramieniu zwiśla wygięta pod dziwnym kątem. Poprzetręcane palce lewej były wykrzywione niczym gałęzie drzewa. Istota syczała.

Zrobił niepewny krok do tyłu, po chwili drugi. Przypatrywała mu się szyderczo kręcąc głową. Przekroczył rzekę torów tramwajowych. Skoczyła, kiedy z głuchym stęknięciem oparł się o szybę przystanku. W jej ruchach było coś zwierzęcego, porzuciła swą niedawną niezdarność. W trzech nieludzko szybkich susach skróciła dzielący ich dystans. Jej ryk, mechaniczny wysoki skowyt zlewał się z dźwiękami otoczenia. W końcu przeszedł w nerwowe dzwonienie i dopiero w tym momencie Absalon zauważył stalowe zbawienie pędzące na kołach.

Tramwaj nie miał prawa wyhamować. Widział jak istota wykrzywia się w grymasie przerażenia, próbuje wyrwać z nieugiętego uścisku stali. W przeciwieństwie do niej zdołał uciec. W okolicy nie było monitoringu.

V

Świt przywitał w kościele. Pojawił się on przed nim niespodziewanie, wyrósł z ziemi niczym fatamorgana. Czł, że wypełnia go irracjonalny strach. Rzeźby i malowidła spały smacznie przykryte szarością budzącego się dnia. Słońce powoli wypełniało ramy witraży kolorami tęczy. Siedział w ławce blisko ołtarza. Rozmawiał.

Zbudował wieżę Babel. Drobna wesz, nic nie znaczący pyłek sprzeciwił się potędze, w której istnienie nie chciał uwierzyć. Stał w opozycji, rozumnym i racjonalnym sprzeciwie. Nagroda, którą otrzymał była piękna.

Zrozumiał. Był dziełem błędu. Tej prawdy nie przekazała mu żadna pradawna istota, to nie boskość rodzaju ludzkiego wskazała mu odpowiedź. Zrządzenie losu i przypadek otworzyły szufladę jego umysłu a rzeczywistość, bardziej prozaiczna niż byśmy chcieli i zdecydowanie zbyt bolesna po raz kolejny

zadziwiła swych konsumentów.

Był sztucznym tworem, efektem wieloletnich badań nad istotą duszy, umysłem wszczepionym w obce ciało. Nie żył, przynajmniej jego własne ciało nie funkcjonowało od dłuższego czasu. Ta nowa, na poły mechaniczna powłoka, którą dali mu wyrodni rodzice pełniła funkcję skafandra dla nieuchwytnego pierwiastka człowieczeństwa.

Obudził się wskutek błędu. Przez przypadek umysł w pełni zintegrował się z nowymi, sztucznymi obwodami, tak że był w stanie się poruszać. Dziewczyna, która zginęła razem z nim nie miała tyle szczęścia. Wystąpiły u niej komplikacje, programy zaczęły generować błędy, nie było dla niej nadziei. Niepotrzebnie jej dotykał. W krótkim zwarciu część zainfekowanych i niepoprawnych danych przeniknęła do niego. Przez to podróżował ze swym mrocznym pasażerem, bratem bliźniakiem rządym krwi. Złośliwa istota sprytnie kierowała jego emocjami.

Przypadek był chyba najpotężniejszym ze współczesnych Bogów.

Absalon z uśmiechem na ustach osunął się na ławkę.

Jego ciało zniknęło przed świtem. Nowa Warszawa, samooczyszczający się organizm po raz kolejny powrócił do stanu nudnej, acz bezpiecznej homeostazy.

Czy był człowiekiem? Nie nam oceniać. Gdzie trafił po śmierci i czy cokolwiek czekało na niego po samobójstwie, którego świadomie dokonał? To chyba nieistotne. Czy mógł zmienić świat, czy powinien wziąć odpowiedzialność za swoje czyny? Pytania można mnożyć w nieskończoność, jedno natomiast jest pewne: powstał wskutek szczęśliwego zrzędzenia losu i istniał przez krótką chwilę.

Tak jak my wszyscy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Rodion, dodano 14.09.2012 19:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.